

AMIE KAUFMAN
MEAGAN SPOONER

W
RAMIONACH
GWIAZD

TOM 1



AMIE KAUFMAN
MEAGAN SPOONER

W
RAMIONACH
GWIAZD

TŁUMACZENIE MARTYNA TOMCZAK



KRAKÓW 2016

Tytuł oryginału: *These Broken Stars*

Copyright © 2013 by Amie Kaufman and Meagan Spooner

Copyright © for the translation by Martyna Tomczak

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja: Anna Brynkus-Weber / dzd.pl

Korekta: Anna Woś / dzd.pl, Jadwiga Makowiec / dzd.pl

Łamanie: Agnieszka Fryszak / dzd.pl

Cover photograph © 2013 by Tom Corbett

Jacket design by Whitney Manger

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty

ISBN 978-83-7515-100-8



www.moondrive.pl

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: www.znak.com.pl

*Dla Clinta Spoonera, Philipa Kaufmana
i Brendana Cousinsa, czyli trzech mężczyzn,
którzy są jak niezmiennie konstelacje
we wciąż zmieniającym się wszechświecie*

- *Kiedy pan poznał pannę LaRoux?*
- *Trzy dni przed wypadkiem.*
- *Jak do tego doszło?*
- *Do wypadku?*
- *Do spotkania z panną LaRoux.*
- *Czy to naprawdę ważne?*
- *Wszystko jest ważne, majorze.*

TARVER

Nic w tym pomieszczeniu nie jest prawdziwe. Gdyby przyjęcie odbywało się w moich rodzinnych stronach, melodia przyciągałaby wzrok ku skupionym w rogu żywym muzykom. Salę wypełniałoby światło świec i przygaszonych lamp, a stoły byłyby z drewna wyciosanego z prawdziwych drzew. Ludzie słuchaliby się nawzajem, zamiast wciąż sprawdzać, kto ich obserwuje.

Tutaj nawet powietrze ma przefiltrowany, sztuczny zapach. W kinkietach drgają ogniki świec, ale napędza je stałe źródło energii. Tace krążą pomiędzy gośćmi, zupełnie jakby drinki roznosili niewidzialni kelnerzy. Kwartet smyczkowy to zaledwie hologram – idealny i nieomylny, za każdym razem daje identyczny występ.

Wiele bym oddał za to, by spędzić swobodny wieczór z kolegami z plutonu, zamiast tkwić tutaj, gdzie odbywa się imitacja sceny z jakiejś powieści historycznej.

Choćby zastosowali nie wiem ile modnych wiktoriańskich chwytów, nie zatają tego, gdzie się znajdujemy. Gwiazdy

za szybami iluminatorów przypominają wyblakłe białe linie, na wpół widzialne, nierealne. Ikar wyglądałby tak samo niewyraźnie, półprzezroczyste, gdyby jakimś sposobem ktoś z nieruchomego punktu w kosmosie zobaczył, jak z nadświetlną prędkością przemierza hiperprzestrzeń.

Opieram się o bibliotekę i wtedy nagle przychodzi mi do głowy, że jest tu jednak coś prawdziwego – książki. Sięgam do tyłu i przesuwam palcami po ich starych, obitych szorstką skórą grzbietach, po czym wyswobadzam jedną z ciasnego rzędu. Nikt ich tu nie czyta – są ozdobą, wybrane nie ze względu na treść, lecz na imponujące skórzane oprawy. Tej jednej nikomu nie będzie brakowało, a mnie potrzebny jest zastrzyk rzeczywistości.

Dziś wieczorem już prawie skończyłem się uśmiechać na rozkaz do obiektywów. Tym na górze się zdaje, że jeśli wpuszczą oficerów terenowych na salony, stworzą jakiś rodzaj porozumienia tam, gdzie go nie ma. Niech grasujące po Ikarze roje paparazzich zobaczą chłopaka z nizin, który brata się z elitą. Sądziłem, że po jakimś czasie będą mieli dość fotografowania, jak leniwie popijam drinki w salonie pierwszej klasy, jednak jestem tu już dwa tygodnie i wcale się na to nie zanosi.

Te pismaki kochają krzepiące opowiadki typu „od pucybuta do milionera”, nawet jeśli miliony zastępuje kilka przypiętych do piersi orderów. Tak czy inaczej, historia świetnie nadaje się do gazet. Dobrze pokazywać wojskowych i bogaczy, biedota ma dzięki temu do czego aspirować. „Spójrz – głoszą nagłówki – skoro taki prosty chłopaczyna doszedł do sławy i pieniędzy, czemu tobie miałyby się nie udać?”

Gdyby nie wydarzenia na Patronie, w ogóle by mnie tu nie było. To, co oni traktują jako popis heroizmu, ja nazwałbym raczej tragiczną porażką. Ale nikt mnie nie pyta o zdanie.

Omiatam spojrzeniem salę, przyglądając się grupkom kobiet w barwnych sukniach, oficerom w takich samych jak mój galowych mundurach, mężczyznom we frakach i w cylindrach. Falujący tłum wprawia mnie w niespokojny nastrój – rządzi się prawami, do których nigdy nie przywyknę, choćby nie wiem ile razy zmuszano mnie do przestawiania z tymi ludźmi.

Mój wzrok pada na nowo przybyłego mężczyznę – dopiero po chwili orientuję się dlaczego. Choć stara się wmieszać w towarzystwo, w żaden sposób tu nie pasuje. Jego czarny frak jest podniszczony, a na cylindrze brakuje obecnie modnej lśniącej satynowej wstążki. Wytrenowano mnie w dostrzeganiu tego, co osobliwe, a w tym morzu chirurgicznie udoskonalonych twarzy jego oblicze lśni niczym morska latarnia. Mężczyzna ma zmarszczki w kącikach oczu i wokół ust, a także ogorzałą, zniszczoną słońcem skórę. Zachowuje się nerwowo, chowa głowę w ramionach i raz po raz zaciska palce na klapach marynarki.

Moje tętno przyspiesza. Zbyt długo przebywałem w koloniach, gdzie wszystko, co odstaje od otoczenia, może stanowić śmiertelne niebezpieczeństwo. Ostrożnie odsuwam się od biblioteki i ruszam w jego stronę, mijając po drodze dwie kobiety – każda z nich ma wciśnięty w oko całkowicie jej zbędny monokl. Chcę się dowiedzieć, co ten facet tu robi, nie mogę jednak puścić się biegiem, a konieczność cierpliwego lawirowania wśród rozkołysanego tłumu doprowadza mnie do pasji. Gdybym zaczął się przepychać, zwróciłbym na siebie uwagę. A jeżeli on jest niebezpieczny, każde nagłe zakłócenie panującej tu energii może podzielać na niego jak płachta na byka.

Nagle świat ginie w oślepiającym błysku. Tuż przed moją twarzą eksploduje flesz aparatu.

– Majorze Merendsen! – woła stojąca pod iluminatorem dwudziestoparoletnia kobieta otoczona stadkiem rówieśniczek i natychmiast przypuszcza atak: – Ach, majorze, musi pan k o n i e c z n i e zrobić sobie z nami zdjęcie. Ich dwulicowość jest jak trucizna. W ich oczach znajdują się niewiele wyżej od psa chodzącego na tylnych łapach, wiedzą o tym równie dobrze, jak ja, a mimo to za nic nie przepuszczą okazji, by ujrzano je w towarzystwie żywego bohatera prawdziwej wojny.

– Oczywiście, wrócę do pań za chwilę, przepra... – Nie dane jest mi jednak dokończyć, bo wszystkie trzy kobiety stoją już upozowane wokół mnie, wydymając usta i spuszczaając rzęsy. U ś m i e c h p r o s z ę! Ze wszystkich stron oślepia mnie erupcja fleszy.

Czuję tępy przeszywający ból u podstawy czaszki, niechybnie początek migreny. Kobiety wciąż trajkoczą, przyciskając się do mnie coraz mocniej, a ja tymczasem tracę z oczu mężczyznę o ogorzalej twarzy.

Jeden z fotografów krąży wokół i brzęczy coś niskim, monotonnym głosem. Przesuwam się, by wyjrzeć zza jego pleców, ale przed oczami wciąż tańczą mi czerwono-złote błyski. Mrugam gwałtownie, po czym omiatam wzrokiem bar, drzwi, stoliki i śmigające tace. Usiłuję sobie przypomnieć wygląd tamtego faceta, linię sylwetki pod ubraniem. Czy to możliwe, że ukrywał coś pod marynarką? Czy mógł być uzbrojony?

– Słyszysz mnie pan, majorze? – dopytuje rozgadany fotograf.

– Proszę? – Nie, nie słucham cię. Udając, że chcę się do niego zbliżyć, wyswobadzam się z uścisków uwieszonych na mnie kobiet. Najchętniej odepchnąłbym mi krusa na bok albo jeszcze lepiej: oznajmiłbym, że grozi mu niebezpieczeństwo, i patrzył, jak ucieka, gdzie pieprz rośnie.

– Dziwię się, że pańscy koledzy z niższych pokładów nie próbowali się wśliznąć tu za panem.

P o w a ż n i e? Przypomina mi się wzrok żołnierzy, którzy co wieczór obserwują, jak ruszam w stronę pierwszej klasy niczym skazaniec na ścięcie.

– Och, no cóż... – odpowiadam, próbując ukryć irytację. – Prawdopodobnie nawet nie wiedzą, co to szampan. – Usiłuję odwzajemnić jego uśmiech, ale w przeciwieństwie do nich wszystkich nie potrafię szafować fałszywymi gestami.

Fotograf śmieje się zbyt głośno i kolejny flesz rozbłyska tuż przed moją twarzą. Mrugam, by pozbyć się gwiazdek przed oczami, a potem odchodzę niezgrabnie, wyciągając szyję w poszukiwaniu jedyne go człowieka, który pasuje tu jeszcze mniej niż ja. Nigdzie jednak nie mogę dostrzec zgarbionego mężczyzny w znoszonym kapeluszu.

Czy to możliwe, że wyszedł? Chyba nikt nie pchałby się tutaj nieproszony tylko po to, by zniknąć, nie czyniąc wokół siebie zamieszania. Może usiadł, ukrył się gdzieś w tłumie? Jeszcze raz obrzucam wzrokiem miejsca siedzące, uważniej przyglądając się zajmującym je ludziom.

Wszystkie stoliki są oblepione gośćmi – z wyjątkiem jednego, przy którym dostrzegam samotną dziewczynę przyglądającą się tłumowi z chłodnym zainteresowaniem. Jej jasna, nieskazitelna skóra mówi, że jest jedną z nich, spojrzenie jednak komunikuje, że stoi o klasę wyżej, lepsza od reszty, nieosiągalna.

Ma na sobie suknię w odcieniu galowego munduru marynarki. Przez chwilę mój wzrok przykuwają odkryte ramiona – ten kolor z pewnością pasuje jej lepiej niż jakimkolwiek znanemu mi marynarzowi. Rude włosy spływają na plecy. Nos – zadarty, co wbrew pozorom czyni ją jeszcze ładniejszą. Dzięki niemu wygląda prawdziwie.

Nie, ta dziewczyna nie jest ładna. To prawdziwa piękność.

W jej twarzy jest coś mgliście znajomego, lecz nim udaje mi się zrozumieć, skąd wzięło się to wrażenie, ona zauważa, że się jej przyglądam. Dobrze znam swoje miejsce w szeregu, trudno więc powiedzieć, czemu wciąż na nią patrzę i czemu się uśmiecham.

Nagle moją uwagę odwraca gwałtowny ruch. Nerwowy facet już nie płynie z nurtem tłumu. Wyprostowany wbija wzrok w jeden punkt i błyskawicznie przeciska się przez zwartą masę gości. Ma upatrzony cel – jest nim dziewczyna w granatowej sukni.

Nie tracę czasu na uprzejmości. Odpycham dwóch skonfundowanych starszych dżentelmenów i pędzę w stronę stolika, ale tamten mnie uprzedza. Nachyla się nad dziewczyną i coś do niej mówi, szybko i po cichu. Spieszy się, by wyrzucić z siebie wszystko, co ma do powiedzenia, zanim zdemaskują go jako intruza. Dziewczyna uchyla się, odsuwa głowę. A potem dzielący nas tłum gęstnieje i tracę ich z oczu.

Sięgam po broń i z sykiem konstatuje, że nie wziąłem jej ze sobą. Puste miejsce przy biodrze jest jak brakująca kończyna. Skręcam w lewo i wpadam na tacę, której zawartość z brzękiem ląduje na podłodze. Tłum ustępuje i wreszcie mam wolną drogę do stolika.

Rozgorączkowany intruz trzyma dziewczynę za łokieć. Ona próbuje się wyrwać, wodzi wokół błyszczącymi oczami, jakby oczekiwała ratunku. Jej spojrzenie pada na mnie.

Robię krok naprzód, ale wtedy jakiś mężczyzna w cylindrze właściwego kroju ciężko kładzie dłoń na ramieniu nieznanego. Towarzyszy mu równie zarozumiały kolega oraz dwoje oficerów, mężczyzna i kobieta. Wiedzą, że facet z żarliwym błyskiem w oku tu nie pasuje, i najwyraźniej mają zamiar zrobić z nim porządek.

Samozwańczy opiekun rudej piękności odpycha nerwowego tak, że ten wpada na dwójkę oficerów, którzy mocno chwytają go za ramiona. Od razu poznaję, że nie przeszedł ani formalnego treningu, ani brutalnej szkoły przetrwania, którą funduje się żołnierzom w koloniach. W przeciwnym wypadku bez trudu poradziłby sobie z dwójką gryziopiórków wątpliwej kondycji fizycznej.

Tymczasem rzeczona para zaczyna popychać go w stronę drzwi, jedno z nich chwytą go za kark. Ja z pewnością nie byłbym tak brutalny w stosunku do kogoś, kto nie popełnił żadnego przestępstwa poza próbą rozmowy z dziewczyną w granatowej sukience, ale ich podejście wydaje się skuteczne. Staję przy stoliku obok, nadal usiłując złapać oddech.

Mężczyzna wykręca się i wyrывa trzymającym go żołnierzom. Jeszcze raz zwraca się w stronę dziewczyny. W sali stopniowo zapada cisza, na której tle słychać jego chropawy głos.

– Musi pani porozmawiać o tym z ojcem, błagam. Umieramy z powodu braku sprzętu, koloniści potrzebują więcej...

Głos milknie, gdy oficer wymierza mu cios w brzuch, od którego facet zgina się wpół. Ruszam przed siebie, rozpychając powiększający się krąg gapiów.

Ale ruda jest szybsza. Zrywa się na równe nogi tak szybko i zgrabnie, że przykuwa uwagę tych gości, którzy jeszcze nie zareagowali na szarpaninę. Kimkolwiek jest, wie, jak zrobić wrażenie.

– Dość! – woła głosem wyraźnie nawykłym do stawiania żądań. – Pani kapitan, poruczniku, czyście poszaleli?!

Wiedziałem, że nie bez powodu mi się spodobała.

Gdy występuję naprzód, ona wciąż nie spuszcza z nich wzroku, który mógłby zwalić z nóg cały pluton. W pierwszej chwili żadne z nich mnie nie zauważa. Potem dociera do

mnie, że żołnierze mnie spostrzegli i przyglądają się mojemu mundurowi w poszukiwaniu gwiazdek i belek. Co tam ranga, różnimy się wszystkim. Ja swoje orderzy zdobyłem w terenie, oni – w uznaniu urzędniczej sprawności. Ja awansowałem na polu bitwy. Oni za biurkami. Nigdy nie mieli krwi na rękach. Przynajmniej raz mam okazję cieszyć się z nowo zdobytej pozycji. Oboje niechętnie stają na baczność – są ode mnie starsi i widzę, jak bardzo boli ich konieczność salutowania osiemnastolatkowi. To zabawne, że choć już dwa lata temu byłem wystarczająco dorosły, by pić, walczyć i głośować, nadal jestem zbyt młody na szacunek.

Tamci wciąż ściskają barki intruza. Facet oddycha szybko i płytko, jakby był pewien, że lada chwila ktoś go wystrzeli przez służbę powietrzną.

Chrząkam, by mieć pewność, że mój głos zabrzmi spokojnie.

– Jeśli ten człowiek sprawia problemy, chętnie odprawdę go do wyjścia. – Nie używając już więcej siły, dodaję w duchu.

Wystarczy jedno zdanie, to, jak wymawiam głoski, by wszyscy zebrani bezbłędnie rozpoznali we mnie pozbawionego szyku i ogłady prostaczka z prowincji. Natychmiast dochodzi mnie kilka wybuchów wesołości z różnych kątów sali. Uwaga zebranych skupiła się na naszym małym przedstawieniu. Ich śmiech nie jest złośliwy – są po prostu ubawieni.

– Merendsen, nie sądzę, by tego pana interesowała literatura. – Słowem Eleganckiego Cylindra towarzyszy kpiący uśmieszek.

Spoglądam w dół i uświadamiam sobie, że wciąż trzymam książkę, którą zdjąłem z półki. No jasne – facet nie jest bogaty, czyli nie umie czytać.

– Ten pan na pewno właśnie wychodził – mówi dziewczyna, obdarzając Cylinder spojrzeniem jak ze stali. – Na was również już czas.

Są zdziwieni sposobem, w jaki ich odprawiła, a ja korzystam z okazji, by uwolnić kolegów oficerów od ich jeńca, i trzymając go pod ramię, odprowadzam na bok. Dziewczyna skutecznie wyprosiła z sali całą czwórkę. Jej twarz znów mąjczy mi w pamięci. Kim ona jest, że ma taką władzę? Gdy tylko wychodzą, delikatnie, lecz stanowczo kieruję nowego znajomego w stronę drzwi.

– Jest pan cały? – pytam, gdy stajemy za progiem. – Co pana opętało, żeby się do niej zbliżyć, i to w takim miejscu? Byłem prawie przekonany, że chce pan wysadzić kogoś w powietrze.

Facet przygląda mi się przez dłuższą chwilę. Gdy patrzę na jego twarz, wydaje mi się, że jest starszy, niż pozostali w środku ludzie będą kiedykolwiek.

Odwraca się i zgarbiony odchodzi bez słowa. Rozważam, jak wiele sobie obiecywał po spotkaniu z dziewczyną w granatowej sukience. Z progu patrzę na ludzi, do których powoli dociera, że przedstawienie skończone. Sala wraca do życia, tace znów śmigają między gośćmi, powraca gwar rozmów, tu i tam rozbrzmiewa perfekcyjnie wypracowany śmiech. Miałem tu być jeszcze przez co najmniej godzinę, ale może ten jeden raz uda mi się wyrwać nieco wcześniej.

A potem znów widzę tamtą dziewczynę – obserwuje mnie. Powolnym ruchem ściąga rękawiczkę, rozmyślnie, palec po palcu. Przy tym ani na chwilę nie spuszcza ze mnie wzroku.

Serce podchodzi mi do gardła, wiem, że gapię się na nią jak idiota, lecz za nic w świecie nie potrafię sobie przypomnieć, jak się porusza nogami. Patrzę odrobinę zbyt długo

i kąciki jej ust unoszą się w leciutkim uśmiechu. Ale jakimś cudem je j uśmiech nie jest drwiący, biorę się więc w garść i ruszam w jej stronę.

Gdy dziewczyna pozwala rękawiczce upaść na posadzkę, to właśnie ja pochylam się, by ją podnieść.

Nie chcę pytać, czy nic jej się nie stało – jest na to zbyt opanowana. Kładę więc rękawiczkę na stoliku i nie mam już wyjścia, muszę spojrzeć dziewczynie w oczy. Są błękitne. Pasują do sukienki. Czy możliwe, by naturalne rzęsy były tak długie? Wśród tylu idealnych twarzy trudno określić, czyja nosi ślady interwencji chirurga. Z pewnością jednak gdyby ją operowano, poprosiłaby o prosty, klasycznie piękny nos. Nie, ona wygląda naturalnie.

– Czeka pani na drinka? – Mój głos brzmi w miarę pewnie.

– Na koleżanki – odpowiada, opuszczając zabójcze firanki rzęs, i zerka na mnie. – Kapitanie? – kończy wysokim tonem, jakby strzelała w ciemno.

– Majorze – odpowiadam. Wiem, że rozpoznaje moje insygnia. Przed kilkoma chwilami słyszałem, jak poprawnie określa rangi tamtej dwójki oficerów. Wszystkie dziewczęta z towarzystwa takie jak ona to potrafią. A więc to gra. Choć nie pochodzę z wyższych sfer, potrafię rozpoznać gracza.

– Nie jestem pewien, czy koleżanki dobrze zrobiły, zostawiając panią samą. Przez to jest pani skazana na rozmowę ze mną.

Nieznamoma się uśmiecha, ukazując dołki w policzkach, i wiem, że już po mnie. Nie chodzi tylko o jej wygląd – choć wygląda olśniewająco. Chodzi o to, że pomimo swojej urody ta dziewczyna nie boi się iść pod prąd. To nie kolejna pustogłowa lalka. Czuję się, jakbym po wielu dniach odosobnienia odnalazł drugiego człowieka.

– Czy sądzi pani, że dojdzie do międzygalaktycznego skandalu, jeśli w oczekiwaniu na znajome dotrzymam pani towarzystwa?

– Ależ skąd. – Lekko przechyla głowę, wskazując mi miejsce przy stoliku. Ławka zagina się w półkole w miejscu, gdzie siedzi. – Choć powinnam pana ostrzec, że prawdopodobnie spędzi pan tu trochę czasu. Moje przyjaciółki nie słyną z punktualności.

Parskam śmiechem, odkładam książkę i drinka na stół obok rękawiczki, po czym opadam na siedzenie naprzeciwko. Dziewczyna ma na sobie suknię o bardzo ostatnio modnym sutym kroju i gdy siadam, materiał jej spódnicy muska moje nogi. Ona się jednak nie odsuwa.

– Szkoda, że mnie pani nie widziała jako kadeta – mówię, zupełnie jakby to było dawno, a nie zaledwie rok temu. – Słynęliśmy wyłącznie z punktualności. Nasze motto brzmiało: „Nie pytaj jak ani dlaczego, po prostu szybko wykonuj rozkazy”.

– W takim razie mamy ze sobą coś wspólnego – odpowiada dziewczyna. – Nas również nie zachęca się do zadawania pytań.

Żadne z nas nie pyta, czemu tu razem siedzimy. Nie jesteśmy głupi.

– Widzę przynajmniej tuzin osób, które nam się przyglądają. Czyżbym właśnie zdobywał sobie śmiertelnych wrogów? A właściwie dodawał następnych do kolekcji?

– Czy zniechęciłoby to pana? – Dziewczyna w końcu zdejmuje drugą rękawiczkę i kładzie ją na stoliku.

– Niekoniecznie – odpowiadam. – Choć dobrze byłoby znać swoje położenie. Na tym statku nie brakuje ciemnych korytarzy, w których moi rywale z łatwością mogliby się na mnie zacząć.

– Rywale? – Moja rozmówczyni unosi brew. Wiem, że ze mną pogrywa, tyle że nie znam zasad, a ona trzyma w ręku wszystkie karty. A jednak myślę: do diabła z tym. Jakimś cudem nie obchodzi mnie, że przegrywam. Jeśli ona zechce, jestem gotów już teraz się poddać.

– Sądzę, że wielu z tu obecnych widzi się w tej roli – mówię w końcu. – Tamci dżentelmeni nie wyglądają na zachwyconych. – Ruchem głowy wskazuję grupkę mężczyzn we frakach i cylindrach. Natychmiast przychodzi mi na myśl, że tam, skąd pochodzę, prowadzimy skromne życie i zdejmujemy kapelusze w pomieszczeniu.

– Proponuję, byśmy poszli o krok dalej – odpowiada dziewczyna bez chwili wahania. – Proszę mi poczytać, a ja będę udawała oczarowaną. Gdyby miał pan ochotę, może pan również zamówić dla mnie drinka.

Zerkam na książkę, którą zdjąłem z półki. *Masowe ofiary. Historia nieudanych kampanii*. Odsuwam ją od siebie stropiony.

– Ograniczmy się do drinka. Przez dłuższy czas przebywałem z dala od świateł wielkiego miasta, moje maniery zdążyły więc nieco przyrdzewieć, jestem jednak przekonany, że rozmowa o krwawych jatkach to kiepski sposób na oczarowanie młodej damy.

– W takim razie będę musiała się zadowolić szampanem. Unoszę przyzywająco dłoń, a tymczasem ona ciągnie: – Gdy mówi pan „światła wielkiego miasta”, wyczuwam w pańskim głosie nutkę pogardy. Ja właśnie z tych świateł pochodzę. Czy ma mi pan to za złe?

– Nie istnieje taka rzecz, którą mógłbym mieć pani za złe. – Te słowa wychodzą z moich ust z ominięciem mózgu. Bunt na pokładzie.

Dziewczyna spuszcza wzrok zadowolona z komplementu i wciąż się uśmiecha.

– Twierdzi pan, majorze, że przebywał z dala od cywilizacji, jednak skłonność do pochlebstw pana zdradza. To nie mogło trwać zbyt długo.

– Na froncie wszyscy zachowywaliśmy się bardzo cywilizowanie – odpowiadam z fałszywą urazą. – Zapewniam, że raz na jakiś czas, jeśli akurat nie brodziliśmy w błocie do pasa pośród świstu kul, rozsyłaliśmy zaproszenia na bale. Mój sierżant zwykł mówić, że nic nie nauczy cię quickstepa lepiej niż ziemia, która usuwa ci się spod nóg.

– Pewnie tak – zgadza się dziewczyna, podczas gdy przywołana przeze mnie taca z szumem podlatuje w naszą stronę. Moja rozmówczyni wybiera kieliszek szampana i przed pierwszym łykiem unosi go lekko w połowicznym geście toastu. – Zdradzi mi pan, jak się nazywa, czy to zastrzeżona informacja? – pyta, zupełnie jakby naprawdę nie wiedziała.

Sięgam po drugi kieliszek i odsyłam tacę z powrotem w tłum.

– Merendsen. – Nawet jeśli udaje, miło jest porozmawiać z kimś, kto nie wynosi pod niebiosa mojej niebywałej odwagi ani nie zanudza mnie prośbami o zdjęcie. – Tarver Merendsen. Dziewczyna patrzy na mnie tak, jakby nie rozpoznawała mojej twarzy z niezliczonych gazet i holowidów.

– Major Merendsen. – Wypróbowuje brzmienie mojego nazwiska z akcentem na obie początkowe głoski, po czym kiwa głową z zadowoleniem. Zdałem egzamin.

– Mówiliśmy o światłach wielkiego miasta. Właśnie wracam do cywilizacji w ramach kolejnej misji. A pani gdzie mieszka?

– Oczywiście na Koryncie – odpowiada dziewczyna. – Wśród najjaśniejszych światłał w całej galaktyce. Choć właściwie najwięcej czasu spędzam na statkach takich jak ten. Ikar w zasadzie stał się moim domem.

– Podejrzewam, że robi wrażenie nawet na pani. Jest większy niż jakiegokolwiek miasto, które w życiu widziałem.

– Największy – potwierdza moja towarzyszka, spuszcza-
jąc wzrok i bawiąc się nóżką wysokiego kieliszka. Choć próbuje to powstrzymać, jej twarz wykrzywia lekki skurcz. Rozmowa o statku najwyraźniej ją nudzi. Być może jest to dla niej równie nużące jak pogawędka o pogodzie.

No dalej, człowieku, weź się w garść. Odchrząkuję.

– Nigdzie indziej nie widziałem tak wspaniałych pokła-
dów widokowych. Przyzwyczailem się do słabo oświetlonych planet, gdzie nocą niebo jest bardzo czyste, ale to, co tu widzę, wydaje się niesamowite.

Spogląda na mnie, a po chwili kąciiki jej ust unoszą się w najlżejszym z uśmiechów.

– Wygląda na to, że dotąd nie korzystałam w pełni z uro-
ków tego rejsu. Może moglibyśmy... – nagle milknie, zerka-
jąc w stronę wejścia.

Zapomniałem, że jesteśmy w sali pełnej ludzi, ale teraz powraca do mnie fala rozmów i muzyki. Do mojej towa-
rzystki zbliża się jakaś dziewczyna o rudoblond włosach – z pewnością krewna, choć jej nos jest idealnie prosty – wio-
dąc za sobą niedużą świtę.

– Lil! Tu jesteś – rzuca z przyganą i zapraszająco wyciąga
rękę. To, że nie zwraca na mnie uwagi, wcale mnie nie dziwi. Świta z wdziękiem lokuje się za jej plecami.

– Anno – mówi moja towarzyszka, już nie bezimienna.
Lil. – Przedstawiam ci majora Merendseną.

– Bardzo mi przyjemnie – rzuca Anna beznamiętnym tonem. Sięgam po książkę i kieliszek. Wiem, kiedy należy się wycofać.

– Proszę mi wybaczyć, usiadłem na pani miejscu. Było mi miło panie poznać.

– Tak. – Lil ignoruje wyciągniętą dłoń Anny i spogląda na mnie, zaciskając palce na nóżce kieliszka. Bawię się myślą, że nie jest zadowolona z nadejścia towarzyszek.

Wstaję i wycofuję się z lekkim ukłonem zarezerwowanym dla cywilów. Dziewczyna w granatowej sukni odprowadza mnie wzrokiem.

- Po raz kolejny spotkaliście się...?*
- W dniu wypadku.*
- Jakie miał pan wówczas wobec niej zamiary?*
- Nie miałem żadnych.*
- Dlaczego?*
- Pan chyba żartuje.*
- Majorze, nie jesteśmy tu dla pańskiej rozrywki.*
- Dowiedziałem się, kim jest. I w związku z tym od początku nie miałem żadnych szans.*

LILAC

– Wiesz, kto to był? – Anna ruchem głowy wskazuje majora, który właśnie opuszcza salę.

– Uhm – odpowiadam z udawaną obojętnością. Oczywiście, że wiem, jego zdjęcia od tygodni są na każdym holokranie. Major Tarver Merendsen, bohater wojenny. Na żywo nie przypomina siebie ze zdjęć. Przede wszystkim wygląda młodziej. Pewnie dlatego, że z każdej fotografii patrzy surowo, marszcząc brwi.

Towarzyszący Annie młodzieniec w smokingu pyta, czego się napijemy. Nawet nie staram się zapamiętywać imion jej adoratorów. Bywa, że Anna mi ich nie przedstawia, tylko od razu oddaje im wachlarz i torebkę, po czym biegnie na parkiet tańczyć z kimś innym.

Chłopak idzie z Elaną w stronę baru. Swann rusza za nimi, obrzuciwszy mnie długim, surowym spojrzeniem.

Wiem, że później zrobi mi piekło o to, że jej się wymknęłam i przyszłam tu przed czasem, ale było warto. Choć nie można tego dostrzec na pierwszy rzut oka, Swann nosi pod

suknią przypięty do uda nóż, a w jej torebce tkwi maleńki paralizator. Ludzie dowcipkują o tym, jak to księżniczka LaRoux nigdzie się nie rusza bez stada rozchichotanych towarzyszek, jednak niewielu z nich wie, że połowa członkiń mojej świty potrafiłaby zabić człowieka z odległości stu jardów. Nawet rodzina prezydenta nie ma takiej ochrony.

Powinam im opowiedzieć o mężczyźnie, który mnie zaczepił, ale wtedy Swann wygoniłaby mnie z sali i spędziłabym resztę wieczoru zamknięta w pokoju, podczas gdy ona zajęłaby się sprawdzaniem faceta w tanim kapeluszu, który przecież nie miał złych zamiarów. Swoją drogą mogłabym jej wytłumaczyć, że ten człowiek nie był niebezpieczny. Nie po raz pierwszy proszono mnie o wstawiennictwo u ojca. Wszystkie jego kolonie potrzebują więcej, niż może im dać, a to nie żadna tajemnica, że najpotężniejszy człowiek w galaktyce jest gotów spełnić najdrobniejszy kaprys swojej ukochanej córki.

Zresztą w tym przypadku ostrożność Swann okazałaby się nieuzasadniona. Wystarczyło spojrzeć na zgarbione plecy wyprowadzanego przez majora mężczyzny, by się domyślić, że nie podejmie kolejnej próby.

– Lil, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Zaskoczona podnoszę wzrok. Anna nie porzuca tematu majora Merdensena.

– Chcę się tylko odrobinę rozerwać. – Przy ostatnim łyku szampana odrzucam głowę do tyłu w sposób, który sprawia, że Anna uśmiecha się mimo woli.

Po chwili z trudem się opanowuje i przywołuje na twarz karcący grymas, który o wiele lepiej pasowałby do oblicza Swann.

– Wuj Roderick by się gniewał – napomina, opadając na siedzenie obok i zmuszając mnie, bym zrobiła jej miejsce. –

Kogo obchodzą jego ordery? To nie zmienia faktu, że jest tylko synem nauczyciela.

Jak na dziewczynę, która często spędza noce w cudzych sypialniach, w stosunku do mnie Anna jest zadziwiająco pruderyjna. Trudno się nie zastanawiać, co takiego obiecał jej mój ojciec w zamian za pilnowanie mnie w czasie tego rejsu – albo czym jej groził.

Wiem, że Anna chce dla mnie dobrze. Wolę zresztą jej wścibstwo od wścibstwa moich ochroniarek, które nie mają powodu skąpić ojcu żadnych szczegółów. Anna to jedna z nielicznych osób, które wiedzą, do czego jest zdolny *monsieur* LaRoux, gdy sprawa dotyczy jego córki. Wie, jaki los spotkał mężczyzn, którzy patrzyli na mnie w nieodpowiedni sposób. Oczywiście krążą na ten temat pewne plotki. Większość panów jest na tyle bystra, by trzymać się ode mnie z daleka, ale tylko Anna zna całą prawdę. Więc choć nieustannie prawi mi kazania, w gruncie rzeczy cieszę się z jej obecności.

Tym razem jednak nie daję za wygraną.

– Jedna rozmowa – mówię półgłosem. – Nic więcej, uwierz mi. Czy naprawdę musimy wciąż to wałkować?

Anna pochyła się, chwytając mnie pod ramię i opiera policzek na moim ramieniu. Gdy byliśmy małe, ten gest należał do mnie, ale dorosłyśmy i teraz jestem od niej wyższa.

– Chcę ci pomóc – mówi. – Wiesz, jaki jest wuj Roderick. Ma tylko ciebie. Czy oddany ojciec to naprawdę taka wielka tragedia?

Wzdycham i przytulam głowę do jej głowy.

– Skoro nie wolno mi odrobinę się zabawić, kiedy nie ma go w pobliżu, po co to całe samodzielne podróżowanie?

– Major Merendsen rzeczywiście jest niczego sobie – przyznaje Anna niskim głosem. – Widziałas jak pięknie

wypełnia ten swój mundur? To nie chłopak dla ciebie, ale ja chętnie poznałabym numer jego kajuty.

Coś lekko ściska mnie w żołądku. Czyżby zazdrość? Nie, na pewno nie. W takim razie kołysanie statku. Ale przecież podróżując z nadświatłą prędkością, człowiek ma wrażenie, jakby stał w miejscu.

Anna unosi głowę, spogląda na mnie i wybucha idealnie wyćwiczonym perlistym śmiechem.

– Och, Lil, przestań się dąsać. Żartowałam. Po prostu więcej się z nim nie spotykaj, bo wiesz, będę musiała powiedzieć o tym twojemu ojcu. Nie chcę, ale nie będę miała wyjścia.

Elana, Swann i smoking bez twarzy wracają, a za nimi sunie pełna drinków i przekąsek taca. Dziewczęta dały Annie czas na to, by mnie skarciła, a teraz rozpromienione siadają obok nas przy stoliku. Anna odsyła smoking z powrotem do baru, by wymienić plasterki ananasa w jej kieliszku na wisienkę. Wszystkie trzy patrzą za nim, po czym parszczą śmiechem. Dobrze wiem, czemu Anna go wybrała – w kwestii wypełniania stroju wieczorowego mógłby spokojnie stanąć w szranki z majorem.

Anna, ku rozbawieniu Elany i Swann, zaczyna opisywać jego żywiołowe zaloty. Bywa, że uwielbiam takie rozmowy – lekkie, łatwe i przyjemne, a do tego bezpieczne. Usuwają mnie w cień, wystawiając Annę na pierwszy plan. Zazwyczaj sprawiają, że pokładam się ze śmiechu. Ale dziś narastająca pustka sprawia, że trudno mi zapomnieć o własnych uczuciach.

Raz po raz zerkam na drzwi wejściowe, ale choć otwierają się i zamykają wiele razy, nie widzę w nich Tarvera Merendena. Jestem pewna, że zna zasady równie dobrze jak ja, i że nie ma na pokładzie tego statku osoby, która nie wiedziałaby,

kim jestem. To cud, że w ogóle się do mnie odezwał. I choć ojciec z okazji moich urodzin pozwolił mi na samodzielną podróż do Nowego Paryża, tak czy inaczej, w pewnym sensie cały czas jest przy mnie.

Mogę się tylko pocieszać, że major opuścił salę z własnej woli, nie zmuszając mnie, bym się z nim rozprawiła w obecności moich towarzyszek. W końcu statkiem podróżuje ponad pięć tysięcy osób, więc szansa, że jeszcze kiedyś ujrzę jego krzywy uśmiech i usłyszę magnetyczny głos, jest prawie żadna.

Dwa kolejne wieczory spędzamy z Anną poza salonem, na promenadzie. Chodzimy pod rękę i plotkujemy o jej sprawach. Jakby nie było jej dość, Anna spędza również całe noce, trajkocząc przycupnięta w nogach mojego łóżka. Nigdy nie widać po niej niewyspania, za to ja po każdej przegadanej nocy budzę się z podkrążonymi na fioletowo oczami, które na tle jasnej skóry wyglądają jak podbite. Wspólne podróże to dla nas jedyna okazja, by spędzić ze sobą więcej czasu. Tu, na statku, jesteśmy jak siostry.

W przechadzkach nieodmiennie towarzyszy nam Swann, ale jeśli nawet słucha naszych rozmów, to ich nie komentuje.

Choć Anna nie wspomina więcej o majorze, nie potrafię wyrzucić go z pamięci. Większość osób z niższych klas, rozmawiając ze mną, próbuje udawać, że jest na tym samym poziomie. Od ich płasów i umizgów bolą mnie zęby. Major był szczery, prawdziwy, a jego uśmiech nie wydawał mi się ani odrobinę wymuszony. Zachowywał się tak, jakby moje towarzystwo sprawiało mu autentyczną przyjemność.

Jedno jego spojrzenie wystarczy, by rozpałić we mnie krew. Zdaje mu się, że nie widzę, jak wyciąga rękę w moją stronę i jak powstrzymuje się w ostatniej chwili. Jest niecierpliw, ale potrafi się hamować – chce mnie odzyskać, ale czeka. Myśli, że mamy czas.



Ikar, największy prom kosmiczny w całej galaktyce, rozbija się podczas rejsu. Jedyni ocaleni to Lilac – córka najbogatszego człowieka w całej galaktyce, i Tarver – młody bohater wojenny, który nie należy do elity. Muszą zjednoczyć siły, by wrócić do domu i rozwiązać zagadkę tajemniczych wizji, jakie zaczynają ich nękać.

Wkrótce rodzi się między nimi uczucie. Jednak w świecie, z którego pochodzą, ich związek jest skazany na potępienie. Czy mimo to nadal będą chcieli opuścić planetę?

Oto pierwsza część trylogii *Starbound*

TRZY ŚWIATY TRZY HISTORIE MIŁOSNE JEDEN WRÓG

E-book dostępny na

woblink.com

ISBN 978-83-7515-100-8



9 788375 151008

Cena detal. 36,90 zł

 **lubimyczytać.pl**

10 LAT
WYDAWNICTWA
OTWARTEGO

MOONDRIVE
JEST MARKĄ
WYDAWNICTWA
OTWARTEGO